

NAUKA SIŁĄ WYTWÓRCZĄ

Gdy mówimy o stawianiu się nauki społeczną siłą wytwórczą, przeważnie nie precyzujemy, czy chodzi tu o całą naukę, czy też o poszczególne jej dziedziny. Nauka bowiem, jako całość, odgrywa ogromną rolę w życiu współczesnych społeczeństw. Świadomość tego nakazuje więc przyznanie jej funkcji zupełnie chyba nowych w całej historii nauki. Do nich należy również udział nauki w procesach wytwórczych, co określane jest właśnie jako stawianie się nauki siłą wytwórczą.

Ogólnie rzecz biorąc, droga myśl teoretycznej, oblekającej się w materialny substrat, jest dość skomplikowana i czasami trudno ją prześledzić. Nie powinno to jednak nikogo mylić: w naszych czasach, w czasach ogromnych osiągnięć nauki, właściwie nie ma dziedzin, w których badania nie byłyby tak lub inaczej powiązane z potrzebami ludzkimi. Niektóre jej dziedziny dawniej hermetycznie zamknięte i nie posiadające prawie żadnego związku z potrzebami życia społecznego, zwłaszcza materialnymi w naszych czasach otwierają nowe możliwości zastosowań — jak np. lingwistyka.

Powinno być natomiast zupełnie wyraźne w dyscyplinach technicznych i rolniczych, które posiadają niemal bezpośrednią więź ze sferą produkcji. Jest też widoczne w dziedzinie nauk medycznych — gdzie badania teoretyczne i doświadczalne, choć może niezrozumiałe, są jednak przez społeczeństwo odczuwane jako niezmiennie ważne i bliskie: spełniają one potrzeby i oczekiwania w rozległej sferze ludzkich dolegliwości.

W powszechnym rozumieniu jednak zakłada się, iż możliwości zastosowania wyników badań podstawowych nie są ustalone, a często nawet nieprzezwidywane. Inne natomiast badania mają na celu praktyczną realizację w życiu gospodarczym, społecznym lub kulturalnym. Są to poglądy na tyle umocnione, że trzeba starannej pracy nad ich korekturą. Zwróć tu uwagę, że np. w naukach technicznych badania podstawowe są podejmowane i prowadzone z wyraźną myślą o przyszłym zastosowaniu wyników w praktyce. A również na to, że wiele okoliczności wymaga myślenia o tym co chce się osiągnąć: choćby rozmiary środków, jakie mogą być oddane do dyspozycji nauce na prace badawcze.

I jeszcze jedno: zafascynowanie np. archeologią, jakie ostatnio się obserwuje, ma w podłożu zapewne i ten nieuchwytny czynnik, jakim jest sympatia dla badań wolnych, umożliwiających jakoby swobodne szybowanie myśli itp. Zapewne, lecz i to badania służą określonym potrzebom: zaspokajają — dziesiątkami dzieł o życiu codziennym w daw-

nych czasach — ciekawość człowieka dzisiejszego; dają mu możliwość regeneracji sił duchowych, pozwalają czas spędzić pożytecznie i twórczo, gdyż pomagają w odbudowie więzi z pokoleniami minionymi.

Jeśli natomiast zastanowimy się nad takimi naukami jak fizyka i chemia — to mimo pewnych trudności, wskazać można setki przykładów, dowodzących niezmiennie bliskiego ich związku z różnorodnymi potrzebami produkcyjnymi. Powiedziałbym nawet, że bardzo nierzadko teoretyczne wyniki osiągnięte zostały, np. przez nauki fizyczne, głównie dzięki naciskowi potrzeb produkcyjnych.

Od najdawniejszych czasów, pole badań naukowych obejmowało subtelne dociekania teoretyczne, oraz prace leżące na pograniczu nauk i działań praktycznych. Unikając natłoku przykładów, przytoczę tu tylko jeden: geometria — stworzona przez mierniczych starożytnego Egiptu — powstała z szachownic pól i stała się potrzebą przywracania jej granic po każdorazowym wylewie Nilu; Euklides zaksjomatyzował geometrie wprowadzając nie dla użytku rolników, lecz okazało się to bardzo przydatne dla innych celów, w tym i dla rozwoju samej matematyki.

Widzimy więc, że nawet tak abstrakcyjna dziedzina nauki jak matematyka posiadała — i oczywiście posiada nadal — dostatecznie wyraźny związek z potrzebami życia. Tyle, że w czasach nowożytnych zagadnienie skutków praktycznych jakie przynosi nauka, stało się jednym z głównych zagadnień, interesujących tak ludzi nauki, jak też organizatorów życia gospodarczego, społecznego, kulturalnego oraz szerokie rzesze społeczeństwa.

Zatrzymałem się dłużej nad tymi zagadnieniami, aby nie być gołosłownym w twierdzeniu, że cała nauka jest, czy też staje się w naszych czasach siłą wytwórczą. Podkreśliłem też specjalnie badania podstawowe, gdyż na ogół one właśnie są uważane za „prawdziwą” naukę. Osobiście niechętnie dokonuję takiego podziału. Nauka i w naszych czasach pozostała dość jednolitą całością; w poznawczej zaś pracy człowieka, będącej jej najistotniejszym składnikiem, bardzo trudno o taki podział. Proces poznawczy zaś wspiera się na działaniu, rozumianym tu jako seria prób zastosowania wyników badań myślowych.

Oczywiście, trudno dostrzec bezpośredni udział nauki w procesie produkcji. Uczeń zwłaszcza niechętnie podejmuje się takich obserwacji, choć z drugiej strony chłubi się przydatnością swego dzieła. Są to podstawy ambiwalentne, podzielane również przez pewne warstwy społeczne. Nie wyrażają one niechęci wobec społecznej służby nauki, lecz dobrze odczuwają specyfikę pracy naukowej.



Cztery ptaki

Linoryt ZBIGNIEWA KAJI

Popatrzenie, ile tu światła mimo wojny! — dziwił się ktoś z pasażerów samolotu, którym dotarliśmy do Hanoi.

Mając doświadczenie z poprzedniego pobytu w Wietnamie w pierwszym roku eskalacji USA, mogłam od razu wyjaśnić, że w miastach wietnamskich nie są znane sposoby zaciemniania okien wedle wzorów znanych nam z lat drugiej wojny światowej. W miejscowościach zelektryfikowanych prąd się wyląca na pierwszy sygnał niebezpieczeństwa. Jeśli alarmu nie ma elektrownie pracują.

Odwiedzam jedną z nich.

— My się przecież znamy! — powiada z uśmiechem na wstępie rozmowy inżynier Tu Dang Lieu. — Byłicie u nas już kiedyś, przed kilku laty. Zaraz, zaraz... To było jeszcze, w każdym razie, podczas pokoju...

Od dwóch z górą lat elektrownia i jej załoga, razem z całą stolicą, znalazły się twarzą w twarz wobec wojennej rzeczywistości. — Elektryczny prąd, to nie tylko światło nad miastem i w oknach ludzkich domów — powiada Tran Danh Tuyen, przedstawiciel dyrekcji. — To sprawa normalnego funkcjonowania zakładów produkcyjnych, urządzeń socjalnych, placówek kulturalnych... Przeciwnik, który nas atakuje, dobrze wie, jak wielkie znaczenie ma dla całego miasta i dla całego kraju regularny dopływ energii. Dlatego źródła jej produkcji musimy bronić jak najmocniej.

Jesienią 1954 roku, kiedy francuscy koloniści przed opuszczeniem Hanoi chcieli wywieźć najlepsze maszyny i cały sprzęt zapasowy — robotnicy zajęli główny budynek elektrowni, uniemożliwiając wywózkę sprzętu. Postawili na swoim, mimo wezwania oddziałów wojskowych i Legii Cudzoziemskiej. Wielu tych, którzy walczyli o utrzymanie elektrowni wówczas, walczy o nią dzisiaj.

— Liczymy przede wszystkim na własne siły — powiadają towarzysze, oprowadzając mnie po zabudowaniach. Część urządzeń ewakuowano, inne działają z jak najdalej idącą ochroną i zabezpieczeniem. O robotników elektrowni rekrutują się przede wszystkim spośród załogi. Dbają o sprzęt, o maszyny również troskliwie, jak żołnierze dbający o broń. Broń zresztą mają również pod ręką, tak jak pracownicy wszystkich zakładów produkcyjnych.

— Oto przykład obrony czynnej — Tuyen wskazuje karabiny oparte o

Monika Warneńska

ŚWIATŁA NAD RZEKĄ CZERWONĄ

Korespondencja z Hanoi

ściągane tuż obok maszyn. Niektóre elementy obrony biernej, niemniej ważne, to schrony i rowy przeciwlotnicze, to odzież ochronna dla ludzi pracujących na miejscu, dla osłony przed odłamkami i odpryskami bomb. Obrona czynna, to regularne ćwiczenia z bronią w rękę. Obrona bierna — to także, między innymi, unikanie zbyt licznych skupiania ludzi w jednym miejscu. To troska o ochronę życia ludzkiego, majątku fabrycznego, najcenniejszego sprzętu. To zapewnienie dodatkowych źródeł żywienia na wypadek dalszych utrudnień transportowych.

— Wyjeżdżamy nieraz — mówi Tuyen — do okolic często atakowanych przez wroga, aby zebrać obserwacje i doświadczenia, które pozwolą nam usprawnić obronę fabryki. Za przykładem naszych rodaków z Południa, za przykładem ludności najokrutniej atakowanych okolic, takich jak Vin Linh — miasto i prowincja w pobliżu 17 równoleżnika — uprawiamy jarzyny, hodujemy drób i prosiąt... Byłicie na Południu — dorzuca z uśmiechem — więc wiecie, jak to się nazywa...

— Wiem. „Samowystarczalność gospodarstwa” — odpowiadam. Rozmawiamy o postawie załogi — spokojnej, zdyscyplinowanej, gotowej w każdej chwili do obrony. Mówimy o współzawodnictwie pracy, o osiągnięciach produkcyjnych, o ludziach wyróżniających się w produkcji. 20 proc. załogi stanowią kobiety. Mają jeszcze więcej trudności w życiu codziennym, niż mężczyźni, troskę o dom, o rodzinę... Są wśród nich matki pięciorga i sześciorga dzieci. Ich postawa, ich spokój i opowiadanie godne są głębokiego podziwu.

— Mieliliśmy trochę kłopotów z młodzieżą. Jakie kłopoty? Po prostu wszyscy rwali się do armii. Trzeba było trochę trudu i cierpliwości, żeby im wytłumaczyć, że tutaj także jest pole bitwy, z którego nie wolno pochopnie schodzić. Bronią naszego zakładu, pracując dla kraju, myślimy o przyszłości. Innymi słowy — formowanie wykwalifikowanych kadr, to jedna z naszych głównych trosk. Kształcimy fachowców na miejscu, najzdolniejszych wysyłamy na staże do krajów socjalistycznych, również i do Polski. Zresztą, jeśli mowa o Polsce, to chcielibyśmy przypomnieć i podkreślić, że nasz kraj ofiarował nam przed kilku laty cenną pomoc w postaci wielu maszyn, wyposażenia, sprzętu dla naszej elektrowni. Wasi fachowcy przez dłuższy czas kierowali montażem i rozruchem tych urządzeń...

Przez trzy lata, od roku 1960 do 1963, pracowała w elektrowni hanoijskiej polska ekipa techniczna. Wędrując teraz z jednego działu do innego i z jednej hali do drugiej, często spotykam na maszynach znajomą nazwę — „Made in Poland” — umieszczoną na fabrycznej plakietce.

Katowice, Chorzów, Pszczyna, Międzybóże, Gdańsk... Zakłady Urządzeń Mechanicznych, Przedsiębiorstwo Energomontażowe Przemysłu Węglowego. I — serdeczne, pełne ciepłej sympatii wspomnienia o Polakach, którzy pracowali tutaj trzy lata. Koledzy, pogodni, energiczni — zostawili po sobie dobrą pamięć. Jeśli te słowa dotrą do wymienionych miast i zakładów — niechaj ci, którzy kiedyś pracowali w Wietnamie, przyjmą pozdrowienia od tutejszych robotników; pozdrowienia i zapewnienia, że polskie maszyny spisują się doskonale, zarówno na miejscu, jak na ewakuacji.

Władysław Hopek

KONFLIKTY BLOKOWE

Nie chciałbym tu urazić stróża, który codziennie dba o porządek koło kamienicy, w której mieszkam, ani tej pani, z którą spotykam się często wychodząc do pracy, ani tej miłej plotkarki, która rozniosła po najbliższych domach, że rzekomo wygrałem milion w toto-lotka. Tak się złożyło, że za przedmiot swojej obserwacji obrałem jeden z nowych bloków mieszkalnych, do którego wprowadzili się ludzie z różnych stron kraju, o różnych zawodach, różnym pochodzeniu. Według wszelkich oznak miał w nim minąć okres wspólnego zapoznawania się i współzawodnictwa, a rozpoczął się okres konfliktów.

W bloku tym jest Dozorca — stąd może na wstępie zastrzeżenia — który nigdy, i to na jego, dzieci i młodzieży nieszczerście, nie był na filmie „Dzieci jednego podwórka”. Jest plotkarka, którą nazywać będę Modrową dla odróżnienia od innych. Jest też ojciec, którego córka może spać piaskiem w oczach wszystkim dzieciom w piaskownicy, ale żadne z nich nie może jej tego zrobić, bo powstanie burza z gromami sypiącymi się z drugiego piętra na placik przyblokowy.

Ludzie, jak ludzie. Kiedy się wprowadzali, oglądali się wzajemnie, dzieci starsze znosiły informacje o tych z dołu i z góry; z pierwszej, drugiej i trzeciej klatki schodowej. Gdy ktoś otworzył drzwi wejściowe, przechodząc wglądali łakomie do wnętrza, aby zobaczyć, jak mieszka. Jeden z lokatorów wymalował mieszkanie „na pikasa”, połowa innych poszła za jego przykładem. Panie domu, które tyle co kupiły nową delikatną bieliznę pościelową, suszyły ją ostentacyjnie na sznurach przy budynku, inne swoją cerowaną po praniu rozwieszały w zamkniętej suszarni albo we własnym mieszkaniu. Każda rodzina żyła tu w izolacji, sama dla siebie. — Jak tu dobrze się mieszka! — czasem odezwała się sąsiadka do sąsiadki, podziękując cukru, bo... goście przyjechali.

Pierwsza nie wytrzymała Modrowa. Jej synek się jękał (biła go na śniadanie, obiad i kolację!), dzieci go przedrzeźniały, więc wyskoczyła z mieszkania, wylała na „chamskie” dzieci kubeł słownych pomył, naurgała rodzicom i kiedy zaczęła rozstawiać ich przedków po klatce schodowej, synek jej już w zgodzie bawił się ze swoimi rówieśnikami. To było pierwsze zło.

Dozorca oprócz tego, że — jak wspomniałem — nie był nigdy na filmie „Dzieci jednego podwórka”, ma jeszcze inną wadę, nie lubi gwizdania. Zaczął prześladować gwizdających, więc chłopcy uwzięli się na niego i dopiero gwizdał! Potem im się znudziło to zajęcie, zaczęli chodzić wokół domu. Gdy ktoś z nich mimo woli zagwizdał, tak dostał w twarz, że zemsta i okładami trzeba było likwidować

opuchliznę. „Ja go zamorduję, choćbym miał siedzieć w więzieniu!” — krzyczał Dozorca. I zemścił się, ale o tym później.

W tym, co nastąpiło, jakiś udział mają również władze administracyjne, bo jeśli wybudowano kilkadziesiąt bloków, należało pomyśleć o jakimś placu sportowym i pomieszczeniu klubowo-swiecicowym dla tych, co już w piasku nie chcą się bawić, a dorosłym jeszcze nie są. Nie byłoby jeszcze tak źle, gdyby nie jedna rodzina. Właśnie ci państwo Wielodzieci, postanowili największy pokój mieć na pokaz, dla gości. Urządzili go „na wysoki połysk” i zamknęli na klucz. Ograniczyli swoje życie do kuchni i pokoju (16 m kw.), w którym kładzie się do snu aż sześć osób. Synom kilkunastoletnim zbrzydło kręcenie się w tak skąpej przestrzeni, zaczęli wychodzić przed blok. Nie uczyli się, nie mieli gdzie: ten mniej lubiany za złe oceny w szkole był karany głodem. Żywił chłopaka koledzy, przynosili koce do piwnicy, gdzie często sypiał. Ten więcej lubiany uwierzył we własną szczęśliwą gwiazdę.

Co pod blokiem robić? Zorganizowała się grupa, chodziła na przechadzki, czasem do kina, a tam tyle przygód, tyle emocji! Żeby takie coś przeżyć! Ale jak i gdzie? W pobliskiej szkole było harcerstwo, chłopcy zapisali się do niego, ale zastępowa (nauczycielka) wiele razy nie przyszła na zbiórki, więc chłopcy rozczarowani odeszli. Rodzice kupili im rowery, ale cóż — wolno im codziennie zrobić 40 tysięcy mil dookoła bloku, aby się im gdzieś dalej coś nie przydarzyło. Więc

znowu chodzili na spacer. Z nudy, przez trzy lata.

Spróbowali otwierać zamki w pobliskiej szopie. Dla draki. To ci produkcja, uśmieć się można! Spróbowali mocy innych zamków i klódek. Zobaczyli wewnątrz przedmioty, które mogą się przydać...

Dozorca widział. Zamiast poinformować rodziców i zło zawczasu zaradzić, czekał na dalsze sprawy. Potem milicja, przesłuchiwanie, przesłuchanie rodziców, wstyd dla nich, dla chłopców tragedia. Ten spod szczęśliwej gwiazdy został najbardziej obciążony, najbardziej przerażony — najmłodszy, pionek czepiający się starszych kolegów jak przysłowio- wy rzep.

Modrowa stanęła w niebieskich obłokach jak błogosławiona: — Mówiłam, że to paskudnie młodzi! — Przeleciała wiele mieszkań z radosną wieścią. Milicja była u nich! — huczało dookoła.

W tym samym czasie z bloku wyprowadziła się z kolei siódma rodzina przerażona srodowiskiem. Dozorca jeszcze jedną miał okazję sprać chłopca za przejście przez trawnik. Do krwi! Teraz — jak po burzy — ucisza się. Chłopcy — przestępcy — siedzą w domowych więzieniach pod strażą rodzicielską, nawet po zakupy ich się nie puszca. Tylko do szkoły. Po trawnikach biegają psy — cieszące się wielkimi przywilejami niż dzieci i wyrostkowie.

A może to już koniec konfliktu i zacznie się powoli proces przystosowywania się? Do gazy poszły dwie oferty zamiany mieszkań.

Przepraszam czy można?

Nadchodzi taki dzień, kiedy człowiek żegna się z zakładem pracy, z współtowarzyszami trudów, częstokroć trudów kilkudziesięcioletnich. Taka jest kolej rzeczy, takie są prawa natury i prawa, stworzone przez nas samych. Po prostu pewnego dnia ktoś kończy 60 czy 65 lat i osiąga próg wieku emerytalnego. Albo zmuszony jest macierzystą fabrykę lub biuro opuścić przedwcześnie, na skutek stopniowego, bądź nagłego, pogorszenia się stanu zdrowia.

I wtedy nagle — tak dzieje się w dziewięćdziesięciu przypadkach na sto — człowiek uzmysla sobie w pełni, że ten „drugi dom”, z którym przyszło mu się żegnać, że ci ludzie, z którymi nie zawsze układały mu się stosunki idealnie — jest mu bardzo drogi. To potwierdza każdy, dla kogo praca nie jest tylko kieratem, w który wrzucić trzeba jedynie dla zdobycia środków utrzymania: aktywny pracownik, po trzech tygodniach wypoczynku, zaczyna myśleć o swych obowiązkach i o swych towarzyszach roboty. Ba, zaczyna się troszczyć, czy aby — bez niego — praca będzie jak należy.

A cóż dopiero, gdy ktoś żegna swoją maszynę, biurko, deskę rysowniczą, gabinet lekarski — na zawsze. To jest ważki próg w życiu człowieka, przez niektórych tylko przekraczany z ulgą. Dlatego nie wystarczą dobre słowa współkolegów i zwierzchników, kwiaty, dyplomy, czy okolicznościowe upominki, ani mniej lub bardziej zdawkowe zapewnienia o potrzebie utrzymywania przez świeżo kreowanego rencistę — dalszego kontaktu z opuszczanym zakładem pracy. W tym ważkim dla niemłodego już przecięt człowieka okresie, liczą się w s e i-

kie okoliczności, jak się zdaje, wciąż dość powszechnie lekceważone.

Wzywa więc dział kadr przechodzącego w stan spoczynku pracownika i domaga się — zgodnie z odpowiednimi przepisami — zwrotu legitymacji służbowej. Cóż, nie ma rady, ludzie starsi nie są niezdyscyplinowanymi miłokosami; legitymacje zostają oddane. Ale jednocześnie w oczekiwaniach tych ludzi — dzisiaj majstrów, księgowych, czy referentów — od jutra stają się oni anonimowymi rencistami.

I jeszcze dział kadr ich prosi, by przedłożyli dowody osobiste,

Piotr Życki

Gdy nadchodzi ten dzień

gdzie — zgodnie z rytuałem, przewidującym tylko dwa rodzaje pieczęci — na odpowiedniej stroniczce zostaje przybity stempek „zwolniony dnia...”

To boli. Czy nie można by — pytają — chociażby umieścić obok dodatkowej pieczęci „przeszedł na rentę”? A jeżeli przepisy tego zabraniają — czy nie można wystąpić o ich modyfikację? Wszak przepisy to nie niedotykane święte krowy. Pomijając aspekt moralny zrównywania stemplem „zwolniony” rencistów z innymi osobami, rzeczywiście z różnych przyczyn opuszczających dotychczasowe miejsce pracy — w grę wchodzi dodatkowy aspekt praktyczny. Mianowicie co młodzież prezentujący się emeryci płci obojga, od czasu do czasu muszą w pewnych okolicznościach objaśniać charakter udzielonego im „zwolnienia”, powołując

się na wiek lub przedkładając odcinek rentowy.

Przeto i życzenia przechodzących w stan spoczynku, by dział kadr nie pozabawił ich drogiej dla nich (tak, tak...) legitymacji zakładu pracy, ograniczając się do umieszczenia i tam odpowiedniego stempla — nie wydają się wygórowane.

No i wreszcie kwestia nomenklatury. Trudno dzisiaj dociekać kto upadł na — mocno niefortunny raczej — pomysł przydania rzeczownikowi „renta” określenia o pejoratywnym zabarwieniu „starca”. Mniejsza już o to, że skoro miano do wyboru dwa słowa obcego pochodzenia: emerytura i renta — uczepiono się tego drugiego, kojarzącego się o ironio (vide encyklopedie oraz słowniki wyrazów obcych) z kapitałem. Ale przecież, jeśli już urzędni-
kom ZUS zabrakło pomysłów, by zastąpić innym określenie

„starca” — warto chyba skorzystać z elementarnych reguł logiki. Mianowicie poprzestańmy na nazwie renta w odniesieniu do tych, którzy nabywają do niej prawa z tytułu osiągniętego przewidzianego prawem wieku. Wszędzie natomiast pozostałe rodzaje zaopatrzenia wymagałyby bliższego oznaczenia (np. renta inwalidzka, wypadkowa). Naturalnie jeśli nie chce się wprowadzić rozróżnienia na emerytury (uzyskiwane z racji wieku) oraz po prostu renty (wszystkie inne).

Myślicie, że poruszam tu sprawy drobne? Że ulegam przeczułeni osób starszych, z których kręgu zaczerpnąłem tę garść refleksji? Nie uważam, by tak było. Mają swoje troski młodzi — mają swoje starości.

Nie mam manier „kulturowego” Hamiltona, odgrywającego dziadzia, pamiętającego nieomal Traugutta. Od renty dzieli mnie, jak tuszę, warę jeszcze, oby ładnych, lat. Ale im mniej tych lat aktywnej pracy przede mną — tym mniej dziwię się ludziom starszym, że gotowi walczyć o prawo do zachowania legitymacji, o zmianę stempla w dowodzie osobistym, czy podobne sprawy. I coraz lepiej ich rozumiem. Zapewne zresztą nie tylko ja.

Eugeniusz Paukšta

Historia dramat i sztuka

Pośród solidnego stosu ostatnich edycji Wydawnictwa Literackiego w Krakowie wyłowilem najsamprzód niewielką książeczkę, której śmiem przydać wielką wagę. Jest to tomik Jana Górskiego — „Rozmowy o historii”, których celem jest, jak pisze autor we wstępie, „poddanie konfrontacji potocznego, błędnego często, myślenia o historii, z tymi poglądami, które wyrastają z głębokich studiów i przemyśleń”. Rozmowcami autora są: K. Grzybowski, St. Herbst, H. Jabłoński, S. Kieniewicz, T. Kotarbiński, J. Krzyżanowski, W. Kula, G. Labuda, B. Leśnodorski, T. Manteuffel, B. Suchodolski, J. Szacki, A. Walicki, K. Wyka. Zespół zatem znamienity. I treść również. Jest to jakby synteza współczesnego spojrzenia historyków i na dzieje i na naukę historii. Polecałbym zwłaszcza wypowiedzi W. Kuli i G. Labudy. Denerwuje jedynie nakład tej pracy, trzy tysiące egzemplarzy, gdy tymczasem jest to pozycja, którą by należało rozprzedać w godzinę.

Skoro zaś jesteśmy przy historii, anonsuję rarytas nie tylko dla zapalnych zbieraczy wszelkich memuarów i pamiętników. Po raz pierwszy publikowane ukazały się interesujące, cenne w swej zawartości Jana Bartkowskiego „Wspomnienia z Powstania 1831 roku i pierwszych lat emigracji”. Szczególnie pasjonujący jest opis okresu bezpośrednio przed wybuchem powstania, z kolei zaś losy korpusów Duernickiego i S. Różyckiego aż po czas powstaniowców i tułaczkę oraz działalność emigracyjną. Pisane świetnie, z niołotem, z nutką gawędziarską, zabarwione osobistym zaangażowaniem.

Przechodząc do zapowiedzianych w tytule przeglądu dramatów, podkreślić należy wydanie dwutomowe „Dramatów wybranych” Karola Huberta Rostrowskiego, z esejem poprzedzającym pisma Marii Czernerle. Tomy mieszczą następujące utwory wielkiego choć zapoznanego w naszym czasie dramaturga: „Judasza z Kariothu”, „Kajus Cezar Kali-

gula”, „Niespodziankę”, „Przeprawę wadzką” i „U mety”, zatem najbardziej reprezentatywne w twórczości tego kontrowersyjnego aż do granicy skandalu i za życia i dziś jeszcze pisarza, wokół którego obrosła legenda, konwencje wykładni i wystawień scenicznych. Tymczasem czas najwyższy przywrócić tym utworom właściwą im i rangę i wymowę.

Jeszcze za życia Ludwika Hieronima Morstina zapoczątkowany został przez Wydawnictwo Literackie cykl „Z pism L. H. Morstina”. Tom czwarty, ostatni, ukazuje się już po śmierci pisarza. Mieści on „Dramaty polskie”, konkretnie zaś: „Burmistrz z Wieliczki”, „Wybrańcy pod Wiedniem”, „Trudna miłość” i „W słońcu”. W większości teksty te zwłaszcza powojennemu odbiorcy mniej były znane, a przecież i w nich, tak jak w dramatach opartych o motywy klasyczne, objawiał się wielki talent dramatyczny świadomego i konsekwentnego w swej pracy twórczej pisarza.

Pamiętamy wszyscy żarliwie dyskusje jakie wywołał projekt pomnika „Zwycięskiej Nike”, dziś już zrosły nieodłącznie z obrazem Warszawy. Autor i późniejszy realizator projektu, Marian Konieczny, dojrzały, świadomy swej drogi twórca, nie ulak się krytyki i nagonki, które często towarzyszyły jego projektom. Jak wiele innych rzeźb, z których przypomnieć należy poza „Nike”, wspaniały pomnik I Armii, i ta doczekała się realizacji, podbijając serca widzów. Wdzięcznym należy być Władysławowi Loranowi, iż napisał w sposób piękny i zarazem bardzo rzeczowy, biografie rzeźbiarza, tytułując ją „Marian Konieczny”. Warto ją z wielu powodów przeczytać, także dlatego, by wiedzieć, jak nielato jest droga do sukcesów.

W przekładzie Jana Józefa Szczepańskiego ukazały się rozważania estetyczne Guillaume Apollinaire'a: „Kubiści”, bogato ilustrowane, wprowadzające w sedno tego wstrząsu w malarstwie, jakim była ekspansja kubizmu. Autora, poza ogólnymi rozważaniami, interesuje ich odbicie m. in. w twórczości Picassa, Braque'a, Metzingera, Legera i innych.

I już tylko informacyjnie: ukazało się czwarte powojenne wydanie „Na skalnym Podhalu” Kazimierza Tetmajera. Wydanie piękne, w piórze, w stosunkowo wysokim nakładzie. Może chętni zdążyć jeszcze je kupić.

Z KSIĄŻKA NA TY

Olgierd Błazewicz

TEATR

Matka Courage

Brechtowska kronika wojny trzydziestoletniej zaczyna się w roku 1624. Matka Courage pcha wtedy jeszcze wózek markietanki ze swoimi dziećmi. Żyje z wojny, żywi złudzenia szczęśliwego przetrwania, gromadzi srebrne guldeny, handluje. W ostatniej odsłonie spektaklu, po dziesięciu latach wojny i tułaczki, ciągnie już swój wózek sama. Krąży z nim po pustej, ciemnej scenie, nie ma już dokąd iść. Jest stara, samotna. Wojna, której wszystko do tej pory zawdzięczała — pieniądze, możliwość handlu, mir i posłuch wśród żołnierzy — zabrała jej wszystko. Na przykładzie wojny trzydziestoletniej w XVII wieku Brecht pokazał w „Matce Courage” okrucieństwo wojny w ogóle, złudne nadzieje z płynących z niej korzyści, z wiary w zwycięstwo, które wszystkie problemy rozwiąże. „Matka Courage” po wojnie, na berlińskiej prapremierze miała wyraźnego adresata: naród niemiecki. Zawierała przecież w metaforycznym skrócie — poinicie dzieje wojenne narodu, losy jego kobiet; pokazywała krach idei wojny dla jakichkolwiek korzyści. Była ona wtedy wielkim wydarzeniem teatralnym dla całej Europy. Sztuką bardzo aktualną, polityczną, moralitetową. Dzisiaj straciła u nas na pewno częściowo siłę bezpośredniego działania; bliska, jednoznaczna, aktualna metaforyka bezpośrednich skojarzeń. Nadal ma jednak moc mądrej politycznej przestrogi. Ma też nowe punkty odniesienia w Europie, w Ameryce, w Wietnamie.

„Matka Courage” jest w repertuarze teatru objazdowego pozycją bardzo ambitną. Już sam wybór jej mówi o wciąż rosnących ambicjach teatru gnieźnieńskiego. Czy pozycja ta nie okazała się jednak dla teatru tego jeszcze zbyt trudna? Na to pytanie odpowiedź całkowicie jedno-

znacznej dać, niestety, nie można. Przedstawienie ma jedną bezsprzeczną zaletę. Czuje się w nim rękę doświadczonego reżysera, rozumiejącego epicki teatr Brechta. Ma ono rozmach, szeroki oddech, trafną, utrzymaną we wzorcu Berliner Ensemble inscenizację plastyczną. Piętyzm reżysera wobec litery tekstu Brechta był chyba jednak przesadny. Sprawił on, że spektakl stał się zbyt długi, nużący, dydaktyczny. Na pewno śmiało skróty nadałyby mu żywsze tempo, podniosły walor obrazowości brechtowskiej pointy.

Strona aktorska spektaklu mniej satysfakcjonuje niż inscenizatorska. Gnieźnieńska „Matka Courage” ma tylko jedną właściwie wartościową rolę — tytułową: Jadwiga Hodoraskiej. Aktorka ta pokazała tu wiele dobrych stron swego talentu. Świetna technika podawania tekstu, niekiedy bardzo trafny ton aktorski — tragizm. Z bardzo licznej obsady spektaklu wyróżnić można jeszcze dwoje aktorów: Józefa Chrabakę w roli kucharza i Irenę Angerman w przejmującej, beztekstowej roli Katarzyny. Na wszystkich pozostałych ciężkich grzech tak obcej poetyce teatru Brechta jednoznacznej, naturalistycznej interpretacji tekstu.

Przedstawienie gnieźnieńskie pojedzie na festiwal do Kalisza. Jakiekorekty można by więc zaproponować teatrowi z pozycji widza i obserwatora festiwalu? Z korzyścią dla samego przedstawienia byłoby przede wszystkim zasadnicze skróty w tekście oraz silniejsze wypunktowanie słynnych brechtowskich songów, które brzmią tu ze sceny trochę wokalistyczne jeszcze nieporadnie.

Teatr im. A. Fredry w Gnieźnie. „Matka Courage” Bertolta Brechta w reżyserii Jana Perza; scenografi: Edwarda Grochulskiego. Muzyka: Paul Dessau.

Przeглядamy Prase

POTRZEBNY CZY NIEPOTRZEBNY?

Pytanie to w odniesieniu do amatorskiego ruchu artystycznego wraca na łamy czasopism od lat. Wciąż powoduje nowe dyskusje, a coraz częściej — wbrew tym, którzy twierdzą, że ruch amatorski nie jest ani modny ani popularny — znajduje obrońców. Bo po pierwsze — fakty wskazują, iż ruch amatorski jest jednak popularny, kto wie czy nie bardziej niż przed laty. Na przykład w Łodzi jest obecnie więcej zespołów amatorskich niż przed 1956 r. Po drugie — jest wiele powodów by ruch ten nadal rozwijać. Z takiego założenia wychodzi też Tadeusz Robak, który zamieścił w tym tygodniu aż dwa artykuły na ten temat — jeden w „Kulturze”, drugi w „Życiu Literackim”.

Trzeba zgodzić się z autorem, że nie można przeciwstawiać racjom istnienia i rozwijania ruchu amatorskiego faktu, iż radio, film i telewizja gwarantują obecnie dotarcie z treściami kulturalnymi na dobrym poziomie do najmniejszych i najodleglejszych ośrodków. Rzecz bowiem w tym, że ruch amatorski nie potrzebuje i nie powinien być konkurencją dla teatru czy telewizji. Praca zespołów amatorskich powinna w istocie być — i tak najczęściej jest — pracą oświatową, ważną dla tych, którzy znajdują się na scenie. Uczestnicy ruchu amatorskiego po prostu lubią np. muzykę, pracę w zespole, szukają tu jakiejś barwy, której gdzie indziej nie znajdują. Robak uznaje za staroświecką — formułę, według której powołaniem amatorów jest występować, grać, śpiewać dla innych, dostarczać rzeczy artystycznych klasy „B” tam gdzie nie wystarcza lepszej sztuki, produkowanej przez zawodowców. Przecież istotniejsza jest wartość tego ruchu dla rozwoju estetycznego, ideowego, wreszcie intelektualnego samych uczestników.

To niezmiennie ważna sprawa dla

uczestników ruchu amatorskiego i środowisk, które je otaczają. A jest tych uczestników w kraju sporo — pół miliona w 23 tysiącach zespołów. Przestańmy wreszcie pytać tych ludzi, które zajęli miejsce w jakimś konkursie, ile razy wystąpili na scenie. Przecież nie to najważniejsze. Bo ruch amatorski jest także nieformalną szkołą dla wielu osób, które w ten właśnie sposób dalej się kształcą, uzupełniają swoją wiedzę.

JAK Z OBOWIĄZKIEM SZKOLNYM

Zanim ludzie zaczynają odczuwać potrzebę uczestniczenia w ruchu amatorskim, najczęściej mają już za sobą co najmniej minimalne wykształcenie, na które składa się u nas szkoła podstawowa. To dobrze, bo fakt ten sprzyja możliwości rozwijania form kształcących na wyższym już poziomie. Złe jednak, że w kraju, który szczyci się mianem ludzi kształcących się — wzrasta liczba dzieci nie realizujących obowiązku szkolnego. Sygnalizuje ten problem Kazimierz Wojciechowski w „Głosie Nauce” i „Głosie Kultury”, podając za Głównym Urzędem Statystycznym, że w roku bieżącym po raz pierwszy od kilku lat wzrosła liczba dzieci — szczególnie na wsi — nie realizujących obowiązku szkolnego. Jest obecnie takich dzieci ponad 40 tysięcy, a wśród nich ponad 13 tysięcy nie ma uzasadnionej przyczyny nieuczęszczania do szkoły podstawowej.

To niepokoi, musi niepokoić. Autor apeluje o podjęcie zdecydowanych kroków zarówno ze strony kierownictwa szkół, władz oświatowych, jak i rad narodowych. Są szczegółowe przepisy określające obowiązki każdej z wymienionych instytucji w zakresie kontroli realizacji przez dzieci obowiązku szkolnego. Chyba można wymagać, żeby kontrola była bardziej skuteczna. To jednak może nie wystarczyć. W końcu jest obowiązkiem każdego obywatela, odpowiadającego za opiekę i wychowanie swych dzieci, troszczenie się o to, by wszyscy kończyli co najmniej szkołę podsta-

wową. Żeby później, kiedy dzisiejsze dzieci wejdą w samodzielne życie, nie było powodów do rozczarowań czy wręcz pomstowań na tych, którzy powinni byli dopilnować kształcenia Jasia czy Zosi w szkole podstawowej.

PORTRET KOLEJARZY

Aż nie chciałoby się powtarzać, a może jednak trzeba, że w większości już zawodów samo tylko wykształcenie podstawowe nie wystarcza. Coraz częściej chłop z konia przesiada się na traktor, a na przykład kolejarz z parowozu na elektrowóz. Do tego też potrzebna jest nowa wiedza. Wraz z tym zmieniają się całe grupy zawodowe, chociaż nie zawsze tylko z tego jednego powodu. Ale nie sposób oprzeć się i tej refleksji przy lekturze szkicu Barbary Pietkiewicz w „Polityce” na temat kolejarzy.

Autorka z uznaniem pisze o trudnej służbie kolejarzy, którzy często żyją na dwa domy, drugi znajdując na szlaku; wpadają do domu jak goście lub tylko po to, by się wypaść; są ludźmi, od których uwagi zależy może życie wielu ludzi.

Dawniej było punktem honoru aby cała rodzina pracowała na kolei. Dzisiaj już tak nie jest. Kolejarze są zwykłymi pracownikami milionowej armii technicznej, których — jak pisze autorka — się raczej nie docenia niż przecenia. Pozostali jednak nawyki i przyzwyczajenia, wyróżniające ich spośród innych zawodów nie tylko mundurem czy jego kolorem. Pozostali wśród nich tradycyjny duch solidarności.

„Sam rytm pracy tego wymaga — czytamy — by ludzie się z sobą zżywali (choćby taki maszynista z pomocnikiem są nierozdzielni). Nie ciężko już dziś tak kolejarz ku kolejarzowi, rodzina kolejarza ku rodzinie, ale nawet w innym mieście czy innym państwie kolejarz kolejarzowi zawsze przyjdzie z pomocą. Chętniej niż inni odpowiadają na apele społeczne, zwłaszcza, gdy odwołuje się do ich kolejarzkiej tradycji.”

Oto cechy, które godne są szacunku, a także upowszechnienia wśród innych grup zawodowych.

LEKTOR